



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Zmartwychwstał Pan.



Na Zmartwychwstanie.

Zmartwychwstał Pan! już mocą Bożą—
Nim błysnął dzień złocistą zorzą, —
Odrzucił precz kamień mogilny,
I z grobu wstał, promienny, silny!

Wnet zbrojna straż
Pada na twarz,
I wszystek lud
Podziwia cud...
Boża w tem moc —
Wielka Noc!...

Zmartwychwstał Pan! o Alleluja!
Na wieży dzwon radośnie buja,
W świątyniach blask łunami płynie,
Jak zbożny łan, Bogu w pokłonie

Chyli się tłum...
Chorągwi szum —
Muzyka gra —
W źrenicach łza...
W tryumfu ton,
Bije dzwon!...

Zmartwychwstał Pan! huczają organy,
I kapłan już Pana nad Pany
W monstrancyi wznosił... Bądź pochwalony!
Niesie Ci cześć lud rozmodlony,

I błaga wraz:
Racz wspierać nas!
Gdzie błędów cień
Niech błysnie dzień,
Smutek dusz
O Chryste skrusz!

W ten święty dzień, Pańscy anieli
Na straży serc, niech staną w bieli,
By powstał lud z grzechowej nocy
Przy świetle gwiazd Bożej pomocy!

Zmartwychwstał Bóg —
W chrześcijański próg
Spływa zdroj łask,
Dziś w duszach blask,
Boża w tem moc...
Wielka Noc!

Z. K.

WIELKANOC.

(WSPOMNIENIE RODZINNE.)

Święto Zmartwychwstania Pańskiego najuroczystsze i najradośniejsze w Chrześcijaństwie, obchodzone jest przez wszystkie ludy Słowiańskie różnemi obrzędami, które świadczą, jak głęboko uczucia religijne przejmują ich serca.

Już sama ta nazwa w mowie naszej *Wielkanoc* oznacza wiarę żywą w ten cud, który utwierdził Boską naukę Chrystusa. *Wielkanoc*, w której życie poko-

nało śmierć, światło zwyciężyło ciemności, ludzkość weszła na nowe tory z dogmatem nieśmiertelności i zmartwychwstania duchowego! prawdziwie Wielka Noc.

I tem silniej wzrusza nas obchód tego święta, że cała przyroda łączy się z człowiekiem, bo i ona w tej porze obchodzi święto zmartwychwstania.

Wody, oswobodzone z lodów, zielone pąki drzew, pierwsze kwiecie wiosenne, śpiew radosny skowronków, to też głosy zwycięstwa życia nad śmiercią.

Jak długa, jak szeroka ziemia nasza, w chatkach i dworach widać przygotowania uroczyste. Nietylko dusze i sumienia oczyścić się winny w źródle pokuty, bielą wszędzie izby i świetlice, zdobią komnaty pańskie, a ubogi, czy bogaty przysposabia święcone, które jest prawdziwą uczta radości.

Jeżeli dziś jeszcze te tradycyjne obchody żywo poruszają serca nasze, łatwo sobie wyobrazić, czem były dla dawnych ludzi, prostszych umysłem, a gorętszych duchem.

Rzućmy okiem w przeszłość, blisko dwa wieki temu.

We wsi Górze, w parafijalnym kościele skończyła się właśnie rezurekcyja. Tylko co wróciła uroczysta procesya, jeszcze chwieją się proporce i chorągwie z obrazami Św. Patronów, jeszcze dym kadzideł nie rozwił się w powietrzu. Za chwilę ksiądz dziekan Rudowski, pleban miejscowy wyjdzie z summą Świątynia, napełniona modlącym się ludem, malowniczo przedstawiała widok: szare i granatowe sukmany, z sutemi pętlcami, pasy czerwone i zielone, siwe baranie czapy mężczyzn, odbijały od różnobarwnego stroju kobiet. Przed wielkim ołtarzem, w kolatorskiej ławce, zasiadł pan Górski, dziedzic miejscowy. Wysoki, mocno szpakowaty, z podgoloną czupryną, przedstawiał piękny typ starego szlachcica. Używał on wielkiego miru w okolicy, jako znakomity rolnik i uczynny sąsiad, ale jego nieugiętość i surowość zasad znaną była powszechnie i nieraz naganianą. Od trzech lat nikt nie widział uśmiechu na twarzy chorążego, bo też stała się rzecz niesłychana. Najstarszy syn Wojciech, który miał gospodarować przy ojcu, samowolnie i potajemnie dom rodzicielski opuścił. Od tej chwili chorąży nie wspominał nigdy jego imienia, i najsurowiej zakazał całej rodzinie, stosunków z nieposłusznym synem.

Dzień 12 kwietnia, w którym Wielkanoc właśnie przypadała, był rocznicą owej ucieczki. Wszyscy wiedzieli o tem, i ze współczuciem spoglądali na bladą twarz chorążynę, która smutnie zamysłona, miała oczy utkwione w obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej, jaśniejącej w wielkim ołtarzu.

Obok siedzące córki, Marychna i Kunusia, zwyczajnie jako młode i płocze, w przerwie nabożeństwa, posyłały wzrok ciekawy w stronę ławek, gdzie bieliły się suknie sąsiadek; podług zwyczaju wszystkie panienki były biało ubrane, a spuszczone jasne, ciemne i czarne warkocze, miały zielonym barwinkiem ozdobione. Między ławkami stało też grono okolicznej młodzieży, wśród której odznaczał się piękną postacią i wykwintnym ubiorem, Paweł, będący od dwóch lat w Płocku w palestrze, *) a teraz przybyły na święta do rodziców.

— Panie, proszę do mszy służyć odezwał się od drzwi zakrystyi głos kościelnego Damiana.

Paweł chciał udać, że nie słyszy, ale ojciec który przesuwał się ziarnka różańca przywiezionego z Ziemi Świętej, modlił się gorąco, nie zwracając głowy wyrzekł te dwa słowa:

*) Palestra, sądownictwo.

— Idź waść — i strojny młodzieniec znikł we drzwiach, a po chwili, odziany w białą komeżkę, niósł mszał za księdzem dziekanem.

Zagrały organy, rozległo się wesołe *Alleluja*, wzniosły się dymy kadzideł pod strop kościoła, potem ks. dziekan przemówił serdecznie do parafian i wołał słowami listu św. Pawła do Koryntian:

„Wyczyścicie stary kwas, abyście byli nowem zaczynieniem! A nie używajmy w kwasie złości i zawziętości, ale w przaisnikach szczerości i prawdy”. — I zachęcał do zgody, miłości, przebaczenia, za przykładem Pana naszego Chrystusa zwycięzcy grzechu i śmierci.

Serdeczne westchnienia wrywały się z piersi zgromadzonego ludu. W kolatorskiej ławce surowa twarz chorążego zmieniła się, złagodniała; łza rozczulenia, gość niebywały, błysnęła mu w oku i z wolna stoczyła się po ogorzałem obliczu.

Chorążyna na ten widok schyliła się szybko i przycisnęła usta do kościstej ręki męża, obie córki zwróciły na ojca nieśmiałe spojrzenia, pełne czci i niemej prośby... ale była to jedna chwila, i znowu zimna powaga na twarz wróciła, a czoło jeszcze głębsza bruzda sfałdowała.

Nikt nie zauważył, że pod chórem, przytulony do kąta, stał młody człowiek. Oczy jego nie odrywały się od kolatorskiej ławki, a twarz mieniła się wielkim wzruszeniem. W końcu kazania wyszedł i śpiesznie podążył na plebanie.

Skończyło się nabożeństwo. Różnobarwna fala ludu wylała się na cmentarz, a tu dopiero ogólne były powitania i przyjacielskie rozmowy... aż rozeszły się ledwo obeschniętymi drogami wesołe gromady. Uśmiechało się nad nimi pogodne kwietniowe słońce, i śpiewały skowronki, zwiastuny młodej wiosny.

Podług corocznego zwyczaju, najbliżsi sąsiedzi udali się do dworu na święcone jajko. Już zaraz po rezurekcyi klucznica, pani Żurkowska z najstarszą córką Kunusią wróciły do domu, żeby wyprawić resztę służby na nabożeństwo i czekać na powrót państwa i gości.

Ogromny stół w jadalni suto i pięknie zastawiony. Wspaniałe szynki różnych rodzajów przymyły. Były więc gotowane, i surowe wędzone, białe w piecu pieczone w chlebowem cieście, i blade różowe cielęce, a wszystkie otoczone wieńcami wybornych kiełbas, przybrane zielonemi borówkami i krasnemi pisankami.

Pieczone indyki i prosięta, półgęski i faszerowane główizny dopełniały zastawy, przeplatane szeregami bab biało lukrowanych, jajeczników, pakowańców, mazurków różnorodnych, a smakowitych. W środku stołu wznosił się słup zieloną rzeżuchą obsiany, dzieło ogrodnika Jakóba, a na nim stał baranek z masła z misternie kręconą wełną, z oczami z ziarnek pieprzu i czerwona chorągiewka, robota Kunusi. Cała komnata ubrana zielonemi świerkowemi gałęziami, wieńcami z widłaków i borówek, wesoło i wiosennie wyglądała.

Już się wszyscy zebrali, ostatni przyszedł ks. dziekan. Podziwiają święcone i chwałą gospodynie, gospodarz najpierw dzielił się z księdzem święconem jajkiem. Starzy to druhowie i krewniacy; młodość razem spędzili, potem rozeszli się na lat kilkanaście, i oto znowu u schyłku życia, Bóg ich połączył, i już też pewnie obok siebie spoczną na wiejskim cmentarzu.

— Daj nam Boże! zdrowie, szczęście, pociechę; powtarzali wszyscy, a pleban dodawał i łaskę Swoją w pełnieniu obowiązków naszych.

— Księżo dziekanie, — przemówiła gospodyni, proszę siadać przy pani Stolnickiej, przy nas. Może barszczu gorącego przed zimnem jedzeniem? zaraz

dzieweczki posłużą. Ale ksiądz milczał, a twarz miał dziwnie wrzuszoną, nareszcie wstał, ujął dłoń pana Górskiego i drżącym przemówił głosem.

— Panie bracie! panie Józefie! druhu najmilszy! ważę się na rzecz wielką... nie odmów mi tego! daruj... -przebacz Wojtusiowi! On winę swoją zrozumiał, powodziło mu się... fortuna sprzyjała... ale chwili nie miał spokojnej, tylko twego przebaczenia, twojej łaski pragnie! Pozwól mu stanąć przed sobą... gotów być choćby ostatnim twoim sługą... to jego słowa.

Na twarzy chorążego odmalowała się ciężka walka, kiedy jednak spojrzął na tonącą we łzach żonę, kiedy wszyscy obecni, swoje prośby do słów ks. dziekana dołączyli, zmiękł i przemówił:

— Przebaczam... dla łez matki, ale nie prędko zapomnę... trzeba mi czynów, nie słów.

Tego tylko czekał poczciwy pleban. Wojciech, który przez niego przwprowadzony, stał w pobocznym pokoju, wszedł teraz i rzucił się do nóg rodzicom.

Otoczyli go następnie towarzysze i rodzeństwo, po kilku latach rozłąki i oddalenia, tem żywiej odczuł słodycz węzłów rodzinnych. Dużo się zmieniło w koło niego, siostry urosły i wypiękniały, brat wąsów się dochował, ale serca zostały kochające i wierne jak dawniej.

Wesołe i uroczyste były tego roku święta wielkanocne w Górze, a kronika rodzinna mówi, że Wojciech Górski był od tego czasu najprzykładniejszym synem, choć lata całe ojciec był dla niego obojętnym i surowym. Na kilka lat dopiero przed śmiercią wrócił mu swą łaskę, i chciał oddać część majątku. Ale syn, który właśnie ożenił się z sąsiadką, panną Katarzyną Sutkowską, nie chciał na to przystać i pozostał przy ojcu, póki mu oczu nie zamknął na sen wieczny.

Zmieniły się od tego czasu obyczaje. Dziś dobrzy rodzice są niejako starszemi przyjaciółmi swych dzieci. Ale zasada pozostała niewzruszona. Karność w rodzinach wyrabia hart, tam zaś, gdzie te święte węzły słabną, społeczeństwo dąży do moralnego upadku. Oby obecne młode pokolenie pamiętało o tej prawdzie.

A. Z.



B. Dyakowski.

Ciekawsze motyle krajowe.

III.

Motyle nocne czyli émy.

Émy stanowią dział znacznie obszerniejszy od grupy motyli dziennych, tembardziej, że pod tą ogólną nazwą pojmują się zwykle zarówno gatunki czyste nocne, jak i wieczorne, a nawet pewną ilość takich, które, chociaż latają w dzień, pod wielu jednak innymi względami zbliżają się raczej do nocnych.

Wszystkie émy odznaczają się mniej lub więcej grubą i krępą budową ciała, oraz niepozornemi barwami. Ale i wśród nich znajdują się gatunki bardziej piękne, więcej jaskrawe i wysmukłe, stanowiące niejako łącznik między temi ponuremi dziećmi nocny, a barwnymi i świetnymi rusałkami lub witeziami.

Wśród licznych gatunków, zaliczanych do ciem, wybieramy sobie tylko kilka na to pierwsze zapoznanie się, a zaczniemy je od takich, które i postacią i obyczajami najwięcej przypominają dzienne.

Do takich motyli o wyglądzie dziennym a obyczajach nocnych a właściwie zmierzchowych, należy plamiec agreściak (fig. 3 n. 4), nieduży motyl o budowie wysmukłej i dość szerokich skrzydłach, wręcz przeciwnie, niż gatunki czysto nocne, które zwykle mają tułów gruby, a skrzydła stosunkowo wąskie. U agreściaka barwa ich jest biała w liczne czarne plamki, ułożone szeregami: od nich właśnie motyl otrzymał pierwszą nazwę. Pomiedzy szeregami plamek ciągną się na przednich skrzydłach dwie żółte pręgi.

Motyl ten, a właściwie liszka jego ma na sumieniu grzechy względem ogrodu. Nie darmo nosi on nazwę agreściaka. Liszki jego lęgą się w jesieni, zimują pod opadłymi liśćmi, a obudziwszy się na wiosnę ze snu, obsiadają tłumnie liście agrestu lub porzeczki i uczują na nich tak dzielnie, że nieraz objadają doszczętnie cały krzak, który, naturalnie w tym roku nie może już dać wcale owoców.

Z ubarwienia liszki te są nadzwyczaj podobne do skrzydlatych motyli, co stanowi bardzo rzadki wypadek w tej grupie owadów: są one tak samo białe w czarne plamy na grzbiecie i żółtawe prążki po bokach. Ciało mają wysmukłe, porośnięte rzadkimi włoskami i tylko 10 nówek, zamiast 16, jak większość gąsienic: z tych 10 nówek, 3 pary znajdują się tuż za głową, a 2 na końcu ciała. Liszki poruszają się odmiennie od innych, mianowicie, uczepliwszy się gałązki przednimi nóżkami, wyginają grzbiet do góry i kurczą całe ciało aż dopóki nie przyciągną nówek tylnych do tego miejsca, gdzie znajdują się przednie. Wreszcie czepiają się gałązki tylnymi, a przednie odejmują, wysuwając na przód całą przednią część ciała, jak mogą najdalej. Następnie znów chwytają się podpory przednimi, znów wyginają i kurczą ciało a potem chwytają się tylnymi i w ten sposób poruszają się, wyginając się wciąż pałakowato. Wygląda to najzupełniej, jak gdyby całym ciałem mierzyły długość gałęzi, po której łążą; wykonują bowiem prawie zupełnie takie same ruchy, jak człowiek, który ręką mierzy np. długość stołu. Podobieństwo jest tak wyraźne, że całej rodzinie motyli, mających takie liszki, nadano nazwę miernic, ponieważ gąsienice ich łążąc, ciągle coś mierzą.

Poczwarzka agreściak (fig 3 n.4) jest gładka, czarna w żółte prążki. Liszka przed przekształceniem się w nią, nie zadawalnia prostem zawieszeniem się na nitce, lecz oplątuje się oprzędem, dość zresztą rzadkim. Znaleść je można w czerwcu na agreście i porzeczkach, w lipcu wylatuje z niej dorosły motyl.

Więcej cech nocnych posiada wstęgówka jesionowa (fig. 3 n. 4), chociaż jaskrawością i pięknnością barwy przypomina ona jeszcze nieco motyle dzienne. Ale ciało ma już grubsze i włochate, skrzydła duże, wąskie; szare barwy występują już u niej wyraźnie, są jednak pomieszane z jaskrawymi: skrzydła przednie mają kolor szary w ciemniejsze prążki, paski, zygzaki, oraz plamki, tworzące nader ładny deseń, jak to zresztą bywa u bardzo wielu ciem, które przy szarawości barw odznaczają się nieraz nader pięknym rysunkiem skrzydeł. Skrzydła drugiej pary są czarne z ładną błękitną wstęgą; po niej cęme tę można zawsze z łatwością odróżnić od innych, nawet od bliskiej krewniaczki wstęgówki ponsowej, której skrzydła ozdobione są dwoma ponsowemi wstęgami. Liszka wstęgówka jesionowa (fig. 3 n. 3) jest duża, ale niezbyt gruba, porośnięta rzadkimi włoskami, o 16 nogach i z wystającą wyniosłością na grzbiecie. Chodzi ona nie tak jak miernica wyginając ciało, lecz pełzając wolno jak wszystkie liszki. Żywi się liśćmi jesionów, dębów, kasztanów oraz innych drzew liściastych, ale że nie zjawia się nigdy zbyt licznie, nie zrzadza więc wyraźnych szkód. Poczwarzkę (fig. 3 n. 1) kształtu dość wysmukłego, pokrytą delikatnym błękitnawym włoskiem, takim jak na śliwkach znaleźć można wśród opadłych liści albo pod korą; jest ona otoczona rzadkim oprzędem.

Wstęgówki należą do rodziny tak zwanych sówek, zawdzięczających temu swą nazwę, że na karku tuż za głową mają gęste, długie włoski, dzięki którym głowa ich przypomina nieco sowią. Barwy ich przeważnie szare lub rudawe, z bardzo delikatnymi rysunkami, jakie widzieliśmy u wstęgówki; inne jednak gatunki sówek nie posiadają takich wspaniałych wstęg, jak te ćmy, należące do największych i najładniejszych w całej rodzinie. Sówki latają w nocy lub o zmierzchu. W spoczynku układają skrzydła w kształcie denka, przyczem jeszcze wyraźniej uwidocznia się sowi charakter ich głowy.

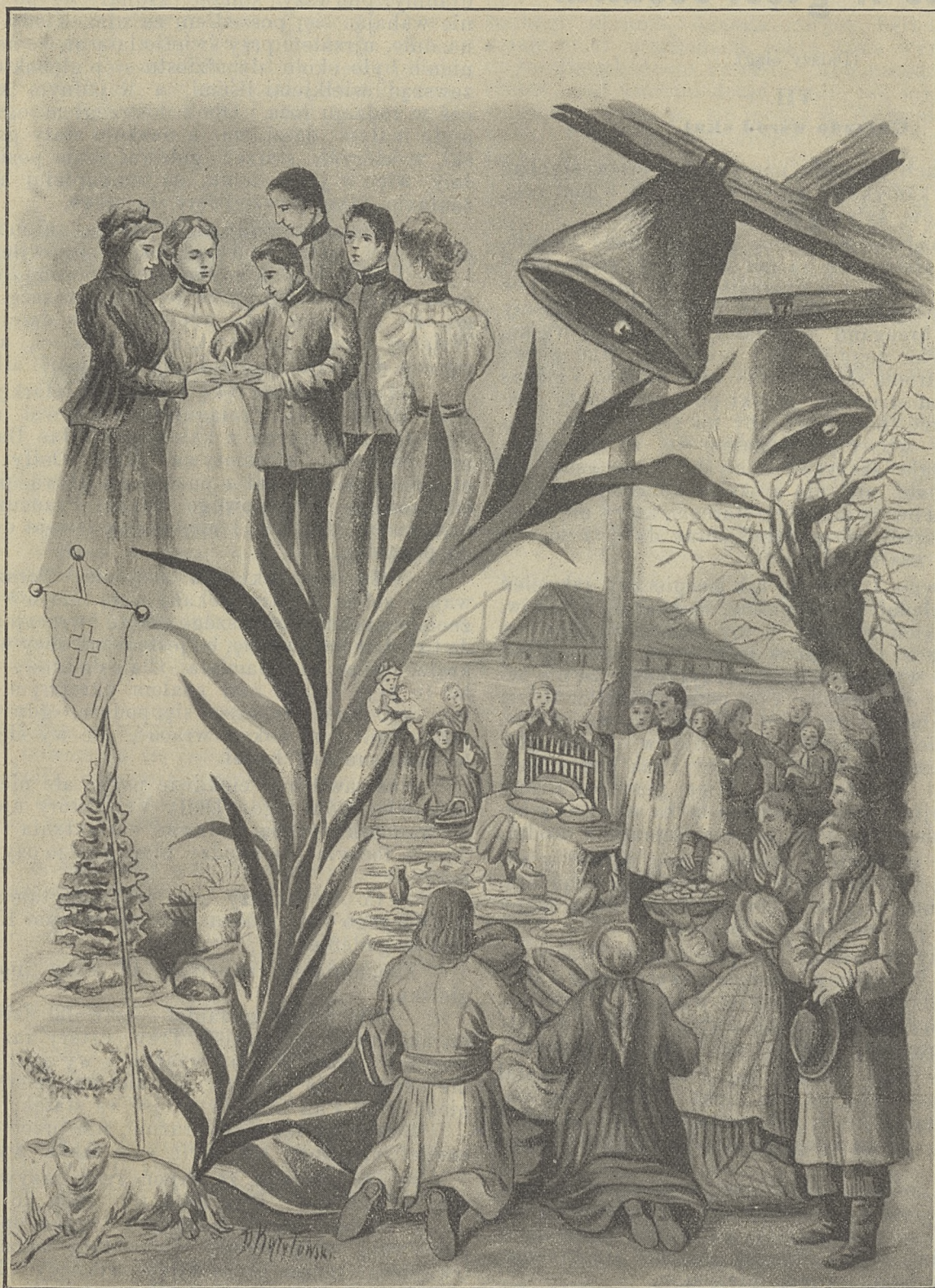
Liszki niektórych zrzadzają duże spustoszenia w posiewach zbóż, oraz warzywach, i z tego powodu należą do wielkich szkodników; inne, a między niemi wstęgówki, można uważać za zupełnie nieszkodliwe.

Do motyli zmierzchowych należy niezbyt pospolita, ale powszechnie znana, trupia główka (fig. 3 n. 3) duża i gruba ćma, porośnięta gęsto włoskami. Ma ona tułów czarny, u karku z żółtą plamą w kształcie trupiej głowy, od której właśnie otrzymała nazwę. Odwłok żółty w czarne poprzeczne paski, z sino-błękitną wstęgą. Skrzydła duże, wąskie, przednie ciemno-brunatne i żółto-marmurkowane w bardzo ładny deseń; tylne pomarańczowo-żółte z dwiema czarnymi przepaskami.

(r. d. n.)



Motyle dzienne i nocne, nieco zmniejszone, każdy z liszką i poczwarzką. 1) Wstęgówka jesionowa. 2) Żelgarz. 3) Trupia główka. 4) Plamiec agreściak.



Rys. Br. Karyłowski.

Wielkanoc.

Maks Pemberton.

Pałac w głębi oceanu.

(Dalszy ciąg).

VII.

Guiardo wśród skał.



W górach otoczyła nas zupełna cisza, słyhać było szelest kamyków, usuwających się z pod nóg, i szmer potoków, spływających do jeziora.

Od gwiaździstego nieba padało blade światło, a gdy wdrapaliśmy się na pół wysokości góry, usłyszeliśmy huk morza i wciągnęliśmy do płuc powiew oceanu, tak ożywczy dla nas marynarzy. Szliśmy ścieżką nad brzegami przepaści, nieraz tak wąską, że trudno było nogę na niej postawić. Nad głową wznosiła się stroma skała, w dole było ciemno, i gdzieś daleko, grzmiał strumień górski po kamieniach. Bałem się spojrzeć pod nogi, aby mi się w głowie nie zakręciło, ale wtedy przekonałem się, że niebezpieczeństwo dodaje skrzydeł, i myśl, iż jesteśmy już wolni, i że nam nic nie grozi od korsarzy, pchała nas naprzód za owym dziwnym starcem, który nie zwalnając kroku szedł coraz dalej, coraz dalej i zdawał się prowadzić nas do nieba.

Szedł równo, i czuł się tak bezpieczny, jak jeleni w górach, zaglądał w przepaście, czepiał się krzaków. Pełzał po śliskich głazach, a my postępowaliśmy za nim we czterech, tak ufni w jego dobre zamiary, tak pewni, że nas wybawi z rąk nieprzyjaciela, że nie zawahaliśmy się ani chwili. Cóż nam szkodziło, że się ubierał w spódnicę, i że nosił lwią grzywę na głowie. Zjawił się niespodziewanie, właśnie w chwili, gdy najwięcej potrzebowaliśmy pomocy i jak dobry sternik prowadził nas do portu. Więc postępowaliśmy za nim, spokojnie; mnie straszyla tylko myśl, czy będziemy mieli dość siły, i czy nie zemdlejemy w drodze.

Nie było to bowiem rzeczą łatwą, pędzić w nocy po górach, a co do mnie, już mi nieraz tchu brakło, i krew uderzała do głowy, Piotr Bligh, idący za mną, sapał jak zmęczony hipopotam.

Nie zatrzymywaliśmy się przecież, bo strach pędził za nami. Weszliśmy pomiędzy skały nagie i sterczące, pomiędzy jeszcze dziksze wąwozy i urwiska. Na niebie rysowały się wielkie czarne postacie, a wiatr wył jak potępieniec. Starzec szedł ciągle naprzód.

— Panie Boże zmiłuj się nad nami! zawołał w końcu Piotr Bligh, już ani kroku naprzód nie zrobię. Panie Beggs, niech pan zatrzyma tego starego!

Wziętem go za rękę i przeprowadziłem ponad przepaścią.

— Co ty mówisz człowiecze, a wiesz, co ci grozi jeżeli wpadniesz w ręce korsarzy? Widziałeś jezioro pełne węzów. Tam możemy wszyscy skończyć, jeżeli nas osiągną mściwe ręce Czernego. Jeszcze sto kroków, a będziemy w bezpiecznym miejscu.

To mówiąc, wdrapałem się za Francuzem po spadziwej ścianie, i znalazłem go stojącego nad brzegiem wielkiej jamy, której dna nie można było w mroku dopatrzeć. Dolly Ven pierwszy przybył za nami, a Jan Barker padł na skałę i leżał bez ruchu. Jeden tylko Clair-de-lune zdawał się wcale niewyczerpany, i zaraz mówić począł łamaną angielszczyzną:

— Panowie, nie mówcie nic, ale chodźcie na dół. Ach panowie, wy mądrzy, że za mną przyszedliście. W jamie pies nie czeka, a jutro zawołacie

okręt i odpłyniecie do domu. Ja nigdy nie wrócę; zostanę tu z dziećmi, ale was uratuję przez pamięć dla mojego pana.

Zdania się nie wiązały, ale nie mieliśmy czasu zastanawiać się nad tem. Z jamy sterczał koniec drabiny, pierwszy starzec zsunął się po niej, a ja nie wahając się, poszedłem za nim. Kiedy stanęliśmy na dnie, ujrzałem przy świetle latarni, że nasze schronienie było około dwudziestu stóp głębokie, wysłane zewsząd wielkimi liśćmi, a w jednym końcu stało coś w rodzaju łoża. Obok dostrzegłem ognisko osłonięte małym daszkiem, a naokoło stały garnki i miski, w których starzec gotował sobie posiłek. Byliśmy więc w jego domu, co tembardziej utwierdziło zaufanie, jakie powzięliśmy do niego.

— Nie zapomnimy nigdy, ani ja, ani moi towarzysze usługi, którą nam oddałeś, przemówiłem gorąco, i jeżeli będę miał kiedykolwiek sposobność odwiedzienia się, to wierzę mi, że jej nie opuszczę. Ufam Bogu, że się nam uda odpłynąć nie dalej jak jutro. Wsiadaj z nami na okręt, zabierz dzieci, a odwieziemy cię do kraju i odszukamy przyjaciół albo rodzinę.

Ścisnął mnie za rękę i postawił latarkę na ziemi. Piotr Bligh leżał, wyciągnięty i wzywał na pomoc wszystkich świętych z kalendarza, Jan Barker sapał jak towarowa lokomotywa. Mały Dolly oparł się plecami o skałę i stał z pochyloną głową, podobny do zmęczonego wyścigowego konia. Francuz odstawił tymczasem drabinę i mieszkanie swoje doprowadził do porządku.

— Tu nas nikt nie znajdzie. Teraz odpoczywajcie sobie, a jutro pokażę wam miejsce, gdzie możecie podpłynąć do waszego okrętu i wracajcie do domu. Ja tu z dziećmi zostanę, bo jestem już obcy we własnym kraju. Nikt nie pamięta Clair-de-lune, dwanaście lat tu żyję i pięć razy spałem okropnym snem wyspy. Pięć razy obudziłem się, podczas gdy inni umierali. Nie mam dokąd wracać, ale wy się spiescie, bo czas snu nadchodzi.

Nadstawiliśmy ciekawie uszy, ale nie mogliśmy zrozumieć słów jego. Dolly Ven, który nieźle mówi po francusku począł zadawać mu pytania i przez pięć minut toczyła się między nimi bardzo ożywiona rozmowa.

— Co to znaczy czas snu? zapytałem po chwili. Dlaczego nie można spać na wyspie Ken? Co za głupie gadanie.

Zapomniałem zupełnie, że stary mówił po angielsku.

— Nie głupie gadanie! — zawołał dziwnym swoim akcentem, nie panie! Trzy, cztery razy do roku wszyscy ludzie śpią na wyspie, i wy zaśniecie, jeżeli nie odpłyniecie pierwsi. Ale nim ten dzień nadejdzie, niech wam Pan Bóg da wsiąść na statek.

Starzał się mówić wyraźnie, nic przecież nie zrozumieliśmy, Dolly nie wiele nam także wytłumaczył.

— On powiada, że Japończycy nazywają tę wyspę wyspą snu: Dwa albo trzy razy do roku unosi się z bagien mgła dusząca i zatrute opary, które pokrywają całą wyspę i powodują rodzaj letargu, trwającego nieraz przez kilka miesięcy. Mnie się to wydaje rzeczą niemożliwą, ale on tak dowodzi.

W każdym razie wolę nie przekonywać się o tem osobiście. Opowiadanie starego wydaje się bajką, ale straszną bajką.

— Nie podoba mi się ta muzyka, którą słyszę, zawołał Piotr Bligh, zwracając uwagę naszą na dwa wystrzały, rozlegające się już nie w lesie ale nad brzegiem morza.

Henryk Doe daje nam sygnały, że niebezpiecznie zbliżać się do niego.

— Daj Boże, aby zdołał uratować siebie i szaluję rzekłem zamysłony.

— Słuchano mnie w milczeniu. Dokoła nas a właściwie nad naszymi głowami szalał wichur, i z daleka dochodził nas ryk bałwanów, rozbijających się na wybrzeżu. Niepokój w przyrodzie, myśl, że zewsząd nacierają nas wrogowie, dziwne słowa Francuza i trwożenie o Maryę Bellenden, wszystko to odpędzało od nas i wypoczynek. Doczekaliśmy dnia niecierpliwie, ale gdybyśmy, wiedzieli, co nas spotka, prosiłibyśmy pewnie Boga, aby w pierw na wieki oczy nasze zamknął.

(d. c. n.)



Listy z Warszawy.

V.

Mateczko droga! zdrowa jestem, nie zaziębiłam się, mogę więc bez zaniepokojenia rodziców pisać o nie spodziewanej kąpeli, jakiej użyłyśmy z ciocią Wańdzą. Kąpiel wiślana w lutym nie jest przyjemna; podobno są amatorowie takich lodowych wrażeń, my jednak z ciocią...

Należy przecież porządnie opisać całą przygodę, no i zapewnić mateczkę że nie groziło nam inne niebezpieczeństwo prócz kataru a i tego szczęśliwie uniknęłam.

Było więc tak. Dawna służąca cioci, oszczędna i uczciwa, założyła sklepik spożywczy w ulicy zwanej Rybaki i powodziło się jej dotąd bardzo dobrze. Ciocia odwiedzała czasem Grzesińską, teraz na wiadomość, że Wisła wylała, pośpieszyła także przekonano się sama, czy woda nie dosięgła sklepiku Antoniny.

Prosiłam ciocię, żeby zabrała mnie z sobą, my mieszkańcy górnej części miasta mało wiemy o rzecze, a ja oddawna pragnęłam zobaczyć pękające lody, spienione i groźne w swej dumie nurty naszej Wisły. Tyle razy deklamowałam bajkę Morawskiego i tak lubię ten wiersz.

Nie zapomnę nigdy widoku, jaki roztoczył się przed nami. Byłaż to ta sama urocza Wisienka po której płyną wesoło rybackie łódki, uzbrojone w chora-giewki? Łódki pokryły się u brzegów, uciekły nawet wielkie tratwy i galary, bo rzeka rozbiłaby je w puch. Rozlała się szeroko, słysząc z daleka groźny pomruk fal, woda pcha przed sobą wielkie lodowe zwały, pluje szaremi płatami piany, wzdyma się, grozi, wyrzuca krę na ulice nadbrzeżne i unosi z sobą wszystko, co spotka po drodze.

Park na Pradze zalany, zalane brzegi, na których z wiosną zakładać miano skwer dla biedaków, zalana ulica Bugaj, Bolesć, wjeżdżamy na Rybaki; wola sięga stopnia dorożki...

— Jeszcze tylko pięć domów, jeszcze tylko dwa; ot, przed ten dom zajęzcie — mówi ciocia, wskazując zatopioną w wodzie kamienicę. W tem koń parsknął i skoczył w bok, dorożka się przechyliła... a pan na Hela dała nurka na zalanym bruku.

Jakim sposobem ciocia utrzymała się w dorożce tego nie pojmem nigdy, nigdy też nie zapomnę przerażonej miny biednej cioteczki. Na szczęście krótko używałam kąpeli. Jakiś robotnik podał mi rękę, wy-

dobył z wody, i pomógł wejść na schodki, po których mieszkańcy suterenu ratowali dobytek. Za mną szła ciocia, odszukałyśmy Grzesińską, wzięła ich do siebie litościwa sąsiadka z drugiego piętra. Zalałam jej pokój wodą przyniesioną w fałdach sukni i kaloszach, nawet w trzewikach, a ona poczciwa pożyczyla mi suchego ubrania, ogrzała gorącą herbatą i opowiedziała cioci o szkodach, jakie woda wyrządziła biednym mieszkańcom Powiśla. Ach mateczko, ileż jest rzeczy, nad którymi dotąd nigdy nie myślałam, z ilu smutkami zetknąć się można w Warszawie! W górnych, bogatych dzielnicach miasta wre karnawał, ludzie tańczą, stroją się, uczują, kiedy o kilka kroków najbiedniejsi ponoszą niepowetowaną klęskę. Tak na przykład Grzesińska utrzymuje ze swego sklepiku chorą matkę, a teraz nagły zalew zniszczył jej zapasy w piwnicy, ja zaś samą o reumatyzm przyprawił. Cóż będzie, jeśli przestanie pracować!

Albo te siostrzyczki Grzesińskiej, jak one kaszlą! Dwa razy już odwiedzała je ciocia, woziła lekarstwa, ale nie są lepiej, bo mury nasiąkły wodą, wilgoć jest w całym mieszkaniu, doktor obawia się suchot dla starszej.

Ten sam doktor mówił cioci, że zalew sprowadza rok rocznie różne zaraźliwe choroby na mieszkańców Powiśla, że trzeba by koniecznie złemu zapobiedz. Ale jak? Niechże mądrzy ludzie myślą o takich sprawach, ja nigdy nie zapomnę nadrzecznych rozbitków, ratujących swoją chudobę, i nie zapomnę tej spienionej wody, która niosła im do mieszkań, wilgoć, bakterye, zarazę.

2 Marca. List zaczęty leżał cały tydzień w stoliku, bo jak mateczka wie ze sprawozdań Wańdzi, odchorowałam jednak moją kąpiel. Skończyło się na influenzy, a że nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło więc i ja, przesiadując jako rekonwalescentka w gabinecie przełożonej, miałam szczęście rozmawiać o zalewie Wisły, o zaraźliwych chorobach i wielu innych nędzach Warszawy, niech mateczka zgadnie z kim?

Z Prusem mateczko, z Prusem! Pierwszy raz widziałam sławnego autora!... a jaki on jest przytem dobry, jaki skromny, cichy. Trudno mi było uwierzyć, że ten pan Aleksander Głowacki, bo tak zaprezentowała go nam przełożona, to uwielbiany przez mateczkę Prus, Prus twórca Emancypantek, Lalki, Faraona, Prus, którego kroniki wuj Szymon na pamięć umie.

Nie dziwię się jednak, że jest wielkim autorem, bo i serce ma wielkie, a poznałam to z jego słów, z jego odczucia potrzeb naszego ludu. Prus mówi, że zdrowie jest bogactwem społeczeństwa. Mówił, że należy wszystkimi siłami szerzyć wśród mas narodu poczucie czystości, że brud, to źródło chorób skórnych, których podobno mnóstwo szerzy się między ludem. Pytał mi się czy nasza czeladź używa kąpeli, a ja nie wiedziałam co odpowiedzieć, bo nie przyszło mi nigdy na myśl dowiedzieć się o tem. I wie mateczka, co Prus mówił jeszcze? Oto powiedział przełożonej, że od czasu zaprowadzenia kanalizacyi i wodociągów umiera w Warszawie około dwudziestu osób mniej dziennie, słyszy mateczka *dziennie*, niż umierało wtedy, kiedy pito wodę zanieczyszczoną i oddychano wzięwami ulicznego błota.

— Ile to łez, ile bólu oszczędzono ludziom — zawołała przełożona, a Prus dodał: i ile pieniędzy!

Prawda! nie pomyślałam o tem. A przecież to taka słuszna uwaga. Ludzie ocaleni od śmierci dzięki uzdrowotnieniu miasta, pracują, zarabiają, zwiększają sumę bogactw społecznych, a do plusów liczyć należy także i oszczędzony wydatek na kuracyę tych, co dzięki czystości miasta nie popadli w chorobę.

Czyż to nie proste, mateczko, że lepiej wydać pieniądze na mydło i kanalizacyą niż na lekarstwa. A jednak ludzie podobno tego nie rozumieją, bo gdyby rozumieli, nie byłoby tyle brudu po małych miasteczkach. Pamięta mateczka, jak grzęźnie się w błocie na ulicach Tyszowiec a nawet Zamościa.

Tak więc poznałam sławnego człowieka. Myślę o Prusie co dzień, powinnam być teraz lepsza i rozważniejsza, prawda mateczko, bo to szczęście obcować z wielkimi i dobrymi.

Nie brakuje nam podniosłych wrażeń. Byłyśmy z ciocią na wystawie i widziałam okna kolorowe do katedry na Wawelu, które malował Wyspiański. Dziwny miał pomysł, przedstawił króla Kazimierza, św. Stanisława i księcia Henryka Pobożnego ale nie takimi, jak byli za życia, tylko szkielety ich po śmierci. Myśli mateczka, że to sprawia odrażające wrażenie? Otóż wcale nie, tyle poezji mistrz włożył w umarłe ciała. Tak się wyraziła ciocia, a ja choć nie umiałam określić tego, co czułam, stałam najdłużej przed malowidłami Wyspiańskiego. Podobały mi się bardzo kwiaty Wyczółkowskiego i rzeźby Laszczki.

— Jak się tam moje panny uczą — zapyta mateczka, bo ja zawsze tylko o wystawach, wycieczkach, i różnorodnych wrażeniach donoszę. Otóż uczą się dobrze w dzienniku mam pięć piątek na początek, a do końca miesiąca będzie ich daleko więcej. Wczoraj odpowiadałam z historii, byłaby znów piątka, gdyby nie znane mamie *roztrzępanstwo* panny Heli i figiel naszego profesora. Prawiłam z zapałem o Aleksandrze Macedońskim, wyliczałam wszystkie znane mi fakty, wszystkie nazwiska współczesnych mu sławnych ludzi.

— A kto był chrzestnym ojcem Aleksandra Macedońskiego? — zapytał nagle profesor.

Zmieszana niewiadomością, siadłam, nie odpowiedziałam ani słowa. Czy też mój braciszek będzie ode mnie bystrzejszy, niech mateczka doniesie mi o tem i nie wyśmiewajcie bardzo waszej

Heli.
przepisała Z. B.

SZARADA.

E. L.

Na *drugie z pierwszym* zwykle o pogodnej wiosnie,
Bartnicy po pasiekach czekają radośnie.

Pierwsze trzecie wynaleść daje się bez trudu,
Wśród wysp od japońskiego zamieszkanego ludu.

Drugie z piątym od wieków znane w świata dziejach,
I dziś słynie potęgą choć w zmiennych kolejach.

Czwarte z piątym jest miastem w innej części świata,
Co z zwycięzkim Pizarem swe istnienie splata.
A *piąte z czwartym* w wieku nie zasobnym w siłę,
Gdy jest dobre i grzeczne bywa wszystkim miłe.
Wszystko wraz, to gród święty, gdzie każdy zakątek,
Jest dla serc chrześcijańskich skarbnicą pamiątek.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożyła Kokoszka.

- 1) - - - * - - - Zwierzę drapieżne z rodz. kotów.
- 2) - - - * - - - Historyk pol. z XIX w.
- 3) - - - * - - - Ptak z rodz. grzebiących.
- 4) - - - * - - - Ryba obdarzona elektrycznością.
- 5) - - - * - - - Wyspa Zundzka.
- 6) - - - * - - - Druga nazwa stolicy w Europie.
- 7) - - - * - - - Miasto we Włoszech.
- 8) - - - * - - - Poeta pol. XIX w.
- 9) - - - * - - - Dawny ubiór.
- 10) - - - * - - - Okres w życiu człowieka szybko [upływający].
- 11) - - - * - - - Poeta włoski.
- 12) - - - * - - - Stopień wojskowy.
- 13) - - - * - - - Rzeka w Indjach.
- 14) - - - * - - - Miejscowość pod Warszawą.
- 15) - - - * - - - Miasto w Indjach.
- 16) - - - * - - - Bohater z poematu Mickiewicza.

Zastąpić kropki literami, aby rząd środkowy utworzył tytuł powieści Verne'a, drukowanej w „Wieczorach.”

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Łamigłównki literowej:

- 1) Proсна. 2) Bzura. 3) Drwęca. 4) Bystrzyca. 5) Radomk
- 6) Narew.

Łamigłównki zegarkowej:

e	i	S
l	k	i
	t	a
		n
	s	g
G	i	b
r	A	l
	p	g
		c
	o	n
		w
	r	a
		e
c	N	N

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Zmartwychwstanie, wiersz przez Z. K. (z ryc.) — Wielkanoc (wspomnienie rodzinne). — Ciekawsze motyle krajowe przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Wielkanoc (ryc.) — Pałac w głębi oceanu, przez Maksa Pemberton — List z Warszawy — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek.** Piosenka, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Warsz i Sawa, sztuka w trzech aktach przez Annę Młodowską. — Wesołe święta (z ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Wielkie cele, powieść dla młodzieży przez Irenę Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 23 Марта 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Bałinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



Piosenka.

Przysły lody na rzece,
 Oj lody!
 Wyfrunęły jaskółeczki
 Na wody.
 Wyfrunęły, zacząwierały
 Radośnie
 Dobrym ludziom o szczęściu
 I wiosnie —
 Że się martwić już nie ma
 Sposobu
 Bo Pan Jezus zmartwychwstał
 Nam z grobu

Wyszły dzieci na łąkę
 Zieloną;
 Mała Haluś z siostrzyczką
 Rodzoną.
 Wiatr im włosy rozgarnia
 U czoła,



Z serca płynie piosenka
 Wesoła.
 Oj pogoda, pogoda
 Na świecie!
 Pierwsze z ziemi wyrasta
 Już kwiecie —
 Można zrywać je, wiązać
 W równianki,
 Przybrać niemi święcone,
 Pisanki —
 Barankowi pod nóżki,
 Pod białe
 Złożyć także wianuszek
 Na chwałę.
 I krzyż stary, pochylony
 Nad drogą,
 Dzieci w kwiatki ustroić
 Dziś mogą.
 Oj pogoda na świecie
 I wiosna!
 Z piersi rwie się piosenka
 Radosna!

Irena Mrozowicka.

Warsz i Sawa.

SZTUKA W 3-CH AKTACH Z PROLOGIEM

na tle starego podania osnuta, nagrodzona pierwszą nagrodą
 na konkursie Teatru Maryonetek,
 p. Annę Młodowską.

SCENA VI.

Ciż, Wilk, Lis i Wiewiórka.

Wilk (mówi gardłowym głosem, z głową spuszczoną).
 Cóż to, Niedźwiedziu, nie pozwolisz nawet spokojnie
 skończyć podwieczorku, wołasz i wołasz, a pewnie
 nic ważnego się nie stało!

Lis (mówi sładko, z przymileniem). Z największą przy-
 jemnością posłyszałem twój głos, Niedźwiedziu i czem-
 prędzej przybiegam zapytać, czem mogę ci służyć?

Wiesz, że zawsze i wszystko rad jestem dla ciebie
 uczynić.

Jeleń (do Sarny). Nie mogę słuchać tego po-
 chlebcy, myśli, że nas oszuka swą słodyczą.

Sarna. Cicho, braciszku, nie jest on zły, tylko
 trochę nieszczerzy i przesadny, ale może rzeczywiście
 lubi niedźwiedzia.

Wiewiórka. Jestem i ja! Obudził mnie twój
 głos, Niedźwiedziu, więc przybywam zapytać, czy
 jest co nowego?

(Przez cały czas rozmowy zwierzęta chodzą, skaczą, od czusu
 do czasu wydają właściwe sobie głosy, zajaczek strzyżę
 uszami).

Niedźwiedź. Dziękuję wam, przyjaciele, że się
 zebraliście na moje wezwanie. Zabiorę wam zaledwie
 chwilkę czasu. Usiądźmy, będzie nam wygodniej
 rozmawiać. (Zwierzęta otaczają Niedźwiedzia). Posłu-
 chajcie mnie zatem. Wiecie, jak lubię chodzić

po naszej puszczy i baczyć, czy wszystko jest w porządku.

Lis (*przerwywając*). Nikt nie jest tak pracowity i troskliwy o nasze dobro, jak ty, Niedźwiedziu. Czy my ci się potrafimy odwdzięczyć?

Wilk. Cicho, nie przerywaj! Zamiast tyle gadać, lepiejbys starał się pomódz Niedźwiedziowi.

Niedźwiedź. Nie kłóćcie się i pozwólcie mi dokończyć. Otóż, chodząc po puszczy, zauważyłem, że dziś nie jest u nas tak cicho i spokojnie, jak dotąd bywało. Słyszałem jakiś gwar daleki, jakieś dziwne odgłosy i nawoływania. Obawiam się, że ktoś obcy do nas się zbliża, że ktoś wrogi usiłuje wtargnąć do naszego niedostępnego królestwa, a wtedy biada nam, jeśli nie potrafimy obronić naszych legowisk.

Wilk. Ale któż znowu mógłby tu przybyć? Czy ci się czasem nie przyśniło to wszystko, Niedźwiedziu? Czy warto tracić czas na próżne narady, skoro nam nic jeszcze nie grozi?

Lis. Ty jeden tylko, Niedźwiedziu, jesteś przeczorny i mądry. Coby się z nami stało, gdyby ciebie nie było!

Jeleń. Więc co zamierzasz czynić, Niedźwiedziu?

Sarna. Ach, jak się lękam! Muszę biedz czemprędzej do moich dzieci!

Zajac. Co tu radzić? Najlepiej uciekać, co sił starczy i skryć się gdzie w gąszczu!

Niedźwiedź. Ja radzę uczynić inaczej. Niechaj każdy z nas biegnie do swych krewnych i przyjaciół i sprowadzi ich tutaj. Zbierze się nas pokaźna gromada i wtedy prędkiej będziemy mogli się obronić. Czyż mamy pozwolić wydrzeć sobie ziemię, która od tylu lat była naszą własnością? (*podnosi się*). Nie myślmj o ucieczce, lecz o obronie! Wierzajcie mi, ostrożność nie zawadzi, zabierzmy się rażno do przygotowań! Trzeba najpierw naszą młodź zabezpieczyć. Jak sądzicie?

Sarna. Dobrze mówisz, Niedźwiedziu, może zdołamy się obronić. Boję się o dzieci! Gdybyż to już Wiosna nadeszła, łatwiejby je było ukryć.

Lis. Jakież to szczęście, że ciebie obraliśmy obrońcą! Któż potrafiłby równie mądrą dać radę, kto ośmieliłby się nie słuchać ciebie, nie zgodzić się z tobą!

Jeleń. Masz słuszność, Niedźwiedziu, jestem również zatem, by wspólnemi siłami bronić się do ostatka.

Wilk. Co do mnie, to zdaje mi się, że niepotrzebnie się trwożycie. Żadnego niebezpieczeństwa jeszcze nie widzę, lecz róbcie, jak chcecie.

Zajac. Zgadzam się i ja na radę Niedźwiedzia, lecz co prawda, zdaje mi się, że najlepszym i najłatwiejszym środkiem jest prędka ucieczka.

Wiewiórka. Albo bezpieczna kryjówka.

Sarna. Nie możemy jednak spokojnie czekać na wroga i pozwolić mu zabrać nasze dzieci; lepiej posłuchajmy rady Niedźwiedzia.

Jeleń i Lis. Tak, tak, uczynimy, jak Niedźwiedź radzi.

Niedźwiedź. A więc do dzieła. Niech każdy idzie w swą stronę; kto wróci prędkiej, niechaj podąża do parowu nad rzeką. Żegnaj was (*wychodzi*).

SCENA VII.

Ciż bez Niedźwiedzia!

Sarna. Śpieszę wykonać radę Niedźwiedzia, ja-kiż on dobry i rozumny!

Lis. Raczej niezośny zarozumialec. Nie myślę go słuchać, już mi się sprzykrzyły jego rozkazy.

Jeleń. To czemuż mu tego nie powiedziałaś?

Lis. Nie głupim, mógłby się rozgniewać, a jeszcze może mi się kiedy przydać, nie chcę go zrażać do siebie.

Wilk. Oj, chętnie udusiłbym cię, słodki kłamco, za twoje fałszywe słowa, lecz powstrzymuje mnie przyrzeczenie, dane Niedźwiedziowi, że nic złego ci nie uczynię.

Sarna. Bądźcie zdrowi, śpieszę do moich dzieci (*wybiega*).

SCENA VIII.

Ciż bez Sarny.

Jeleń. A ja do mych braci łosi i jeleni, by wezwąć ich tutaj. (*wybiega*).

SCENA IX.

Ciż bez Jelenia.

Lis. Poszli sobie nareszcie, byle tylko nie powtórzyli mych słów Niedźwiedziowi! Niech tam! i tak zdołam zamydlć oczy temu głupiemu pocziwcowi!

Wiewiórka. Oj Lisie, Lisie! zobaczysz, że kiedyś otrzymasz karę za swoje ciągłe kłamstwa. Ale co mnie to zresztą obchodzi. Spać mi się zachciało, biegnę do mojej dziupli.

Wilk. Nie pójdziesz zwoływać swych braci?

Wiewiórka. Ani myślę. Przecież mnie nikt w dziupli szukać nie będzie, a o was wcale się nie troszczę, radźcie sobie, jak umiecie! (*wskazuje na drzewo i ucieka*).

SCENA X.

Ciż bez Wiewiórki.

Zajac. Ja też mam swój rozum w głowie, nie potrzebuję nikogo słuchać! Najlepsza obrona to dobre nogi, zobaczymy, czy mnie kto dogonić potrafi! (*wybiega*).

(*d. c. n.*)

Wesołe Święta.

Pani Molska ubrana do wyjścia na miasto, rzekła do swego ośmioletniego synka Kazia:

— Moje dziecko, wychodzę po sprawunki i zabieram z sobą Jagusię, prawdopodobnie przyniosą tu różne rzeczy na święta, niech to wszystko ustawią na stole w jadalnym pokoju.

— Dobrze mamuniu, zrobię jak każesz, ale jeśli by kto przyszedł z interesem do tatusia lub mamusi?

— Wątpię, aby kto przyszedł; w Wielki Piątek wszelkie interesa zwykle ustają, każdy ma coś do przysposobienia w domu, wszyscy idą do kościoła pomodlić się u grobu Chrystusa Pana.



— Tak, prawda, Wielki Tydzień nazywają świątecznym, bo cały świat chrześcijański święci pamiętkę męki Chrystusa Pana, a później w niedzielę, to już ogromna radość

z powodu Zmartwychwstania, ale mamusiu, mówią mi kiedyś Jagusia, że w dzień Zmartwychwstania to się wszyscy powinni radować, nikt nie powinien się smuć, wszyscy mają być szczęśliwi, czy to prawda? Czy w Wielkanoc niema nieszczęśliwych ludzi?

Matka przesunęła ręką po głowie synka.

— Moje drogie dziecko, w Wielkanoc tak jak i zawsze są nieszczęśliwi, biedni, głodni i chorzy, bo gdzieżby się podzieli? Jagusia, mówiąc o szczęściu i radości wszystkich, miała pewnie na myśli radość i pogodę wewnętrzną, jakiej każdy doznaje w tym uroczystym dniu, kiedy Pan Jezus powstał z grobu. Wiesz przecież, że to wielkie święto poprzedził kilkotygodniowy post, czas umartwień i pokuty, a następnie spowiedź i Komunia św. To wszystko razem sprowadza do serc naszych niepojętą błogość, ciszę, każdy czuje się lepszy, bliższy Boga! Innym razem opowiem ci o tem dłużej, dzisiaj śpieszę się bardzo.

Mama upomniała jeszcze raz synka, aby wszystko zrobił, jak poleciła i wyszła. Tadzio począł chodzić około stołu, a ponieważ był sam, a samotności bardzo nie lubił, więc skracając oczekiwanie, opowiadał sobie głośno, jak to będzie u nich w Wielkanoc.

— Jutro zastawi mamusia wielki stół, nakryje białym obrusem, ubierze kwiatami, będą śliczne lukrowane baby i makaronikowy wyborny mazurek. I ja będę miał swoje święcone, malutkie babki, mazurki, nawet buteleczki z winem i malutkie jajka. Jak to będzie wesoło, przyjdą Edzio, Karolek, Józio, Franio! Będę ich częstował!

Dzwonek przerwał dalszy ciąg wesołych planów. Kazio pobiegł drzwi otworzyć i ujrzał przed sobą chłopca z cukierni, który przyniósł ogromną babę, ślicznie ulukrowaną, na wierzchu stał baranek z czerwona chorągiewką.

— Ach, jaki śliczny, jaki prześliczny! — wołał Kazio, biegając w około stołu — nic piękniejszego chyba być nie może.

— Owszem, paniczu, mazurki zrobiliśmy jeszcze ładniejsze — rzekł chłopiec, i wybiegł.

Za chwilę znowu dzwonek się odezwał.

— Ach, to pewnie mazurki! i pobiegł drzwi otworzyć, lecz zamiast chłopca, stanęła przed nim dziewczynka w czarnej sukience ze smutnymi oczami.

— Czy tu mieszka gospodyni tej kamienicy? — Pyta nieśmiało.

— Tak — odrzekł Kazio z niezadowolaniem, że mu przerwała zachwyt nad arcydziełem cukierniczym, a czego panienska chce?

— Mam interes...

— Kiedy mamusia powiedziała, że w Wielki Piątek wszelkie interesa ustają.

Przybyła spojrziała trwożnie, jakby się bała, aby jej nie odprawili bez wysłuchania, więc przytrzymała drzwi, które Kazio miał ochotę zamknąć i rzekła:

— Tak, ja wiem, rozumiem, że to niestosowna pora, ale ja, ja nie zajmę dużo czasu, kilka wyrazów tyłko.

— Kiedy mamusi niema w domu!

Chciała zapytać, kiedy będzie, ale w tej chwili chłopiec przyniósł znów coś wspaniałego. Kazio otworzył drzwi bardzo szeroko, aby broń Boże nie trącić i nie uszkodzić tego nowego arcydzieła, wpuścił chłopca i pobiegł z nim do pokoju, pozostawiając dziewczynkę za drzwiami, gdy w parę minut przypomniał sobie o niej, już jej nie było. Wkrótce wróciła mama, stół w jadalnym pokoju cały był zastawiony ciastami i cukrami!

— A co, synku, czy wszystko przynieśli?

— Tak, mamuniu.

— I nikt więcej nie był.

— Nikt, mamusiu.

Kazio zapomniał o smutnej dziewczynce; w domu panował ruch, mama miała wiele rzeczy do przysposobienia, Kazio pomagał, Jagusia biegała.

Naraz znowu poruszył ktoś dzwonek nieśmiało. Kazio biegnie.

— Ach, to pewnie ta mała nudziarka. Tak, to ona. Kazio przygląda się jej uważnie, prócz tego, że ma smutne oczy dostrzega jeszcze, że są czerwone, jakby od łez. Jakoś mu jej żal, patrzy teraz inaczej.

— Pani Molska powróciła już? — pyta cichutko.

— Tak, proszę do pokoju.

Dziewczynka wchodzi. Wzrok jej pada na stół zastawiony prześlicznymi ciastami, podziw maluje się w oczach, usta otwierają, jakby miała krzyknąć: ach, co tu tego, a jakie musi być dobre, odwraca się jednak szybko i mówi:

(d. n.)



Już baranki idą w pole.

S Z A R A D A .

uł. Z.

Pierwsza z trzecią kole,
Jest rodzajem broni —
Drugą z trzecią wolę,
Gdy po śniegu dzwoni.
Druga sama wzbiera,
Krusząc lodu pęta,
Wszystko, radość szczerą
Dla dzieci na Święta.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

ja — lu — le — al — z tych czterech sylab ułożyć jeden wyraz.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Zagadki: Rękawiczka.

Łamigłówniki sylabowej:

Czapka, chlebem i solą, ludzie ludzi niewolą.

Łamigłówniki kryształowej:

J
B a r
G o p ł o
J a p o n i a
B a n a n
l i n
a

Skrzynka do listów.

Cieszę się **Czarny Kocie**, że Warszawa przyjemne na tobie zrobiła wrażenie, ale prowincjonalne miasta niesłusznie nazywasz dziurami. Gdy są czyste, bywają bardzo miłe, a towarzystwo higieniczne stara się obudzić w całym kraju dbałość o porządek i zdrowotne warunki. Ty Kocie pomożesz mi pewnie w tem, gdy dorośniesz, bo starannie napisany list zdradza zamiłowanie porządku. Nie żałuj Warszawy, dla kota wygodniej spacerować po niskich prowincjonalnych dachach niż wdrapywać się za wróblami na czteropiętrowe kamienice.

Szarotce życzę dobrej cenzury i wyrozumiewam jej milczenie, wiem, że brak czasu jest jego przyczyną.

Smiało **Muszelko z Ussy**, przysyłaj pracę na konkurs kaligrafii, przepowiadam ci nagrodę, bo względnie do swego wieku piszesz bardzo dobrze.

Zawczasem chciałaś wygrzewać w słońcu twoje futerko **Biała Kotko**, zimna powróciły, północ wiatrem dmucha więc słusznie szukasz książki na pociechę po miłych spacerach. Spróbuj czytać szkice historyczne Szajnochy lub Kubali, bardzo to zajmujące i pouczające dzieła.

Nie zmarzałaś **Wroneczko z Podlasia**, wytrzymała Jaskółka srogie tegoroczne zimna, bo ogrzewała ją pamięć wasza.

Cyganeczka z nad Nidy uwierzyła nareszcie, że nie ziewam, czytając jej listy. Czyż warta byłabym waszego uczucia, gdybym odpowiadała z musu? Czy nie czujecie w moich słowach szczerości i gorącego zainteresowania się wszystkim, co wpływa na rozwinięcie waszego umysłu, serc, i sumiennego spełnienia obowiązku. Szlachetna autorka „Pamiętki po dobrej matce” mówiła, że wszystkie nasze dzieci są jej dziećmi, czyż nie wolno Jaskółce pragnąć, aby wszyscy korespondenci „Wieczorów” byli jej rodziną? Cóż silniej może jednoczyć nad wspólną pracę i dążenie do wspólnych celów.

Tym celem dla was jak i dla mnie doskonalenie się i kształcenie umysłu i serca.

Nie przepraszaj za kłopot **Stokrotko z gub. Podol**. Nie mnie tak nie uszczęśliwia, jak pośredniczenie w spełnieniu dobrego uczynku. Pieniądze oddałam Koloniom Letnim, spragniono świeżego powietrza więźniowie suterren warszawskich będą się gorąco modlili za ciebie i twoją siostrzyczkę, małą Różyczkę.

Żabka z nad Rosi obiecuje mi list i cieszy się kwestyonaryuszem. Dotrzymaj słowa, Żabko, a spiesz się, wiosna nęci spacerami, czy nie zapomnisz o Jaskółce używając letniej swobody?

Bławatek z gub. Podol przysłał zapóźno rozwiązania łamigłówek, redakcja ogłosiła je już w „Wieczorach”, niemniej list bardzo mi był miły, bo zawierał dobrą wiadomość o powrocie do zdrowia kochanego Bławatka. I siły wrócą prędko przy tak pięknej pogodzie.

Sokół Litewski starannie pisze, to wielki przymiot. Redakcja chętnie przyjmuje łamigłówniki tak wyraźnie i czysto skreślone.

Witam cię **Szary Szczerku**. Że umiesz żwawo biegać po ogrodzie, i że masz zamiar kopać w nim grządki, temu się nie dziwię, znane mi są obyczaje wszystkich szczerów. Co jednak zasługuje na pochwałę to staranne pismo i pilność w nauce. Siedmioletni uczony szczer zaszczyt przynosi Czarnemu Kruczkowi i Kukułce. Strzeż się tylko Białej Kotki i pamiętaj wezwać mnie na pomoc, gdyby cię zjeść chciała.

Twoje „Zapóźno” kochana **Szara Muszelko** czytałam już w Zbiorku powiastek dla ludu; pomimo małych zmian rzecz jest tak znana, że nie może uchodzić za oryginalną pracę. Wstrzymuję się więc z ocenieniem jej wartości, a radzę tylko pracować nad wyrobieniem czytelnego pisma. Łochozwianka jest czytelniczką „Wieczorów”, co zaś do kwestyonaryusza to musisz jeszcze być cierpliwą Muszelko, redakcja odpowie razem na wszystkie wasze prace. Za przyslaną kartę serdeczne podziękowania. Brzydulka pragnie zamieniać z tobą karty.

Uwierz temu, co wyżej napisałam kochana **Literatko** i donieś mi dużo szczegółów o sobie, zajęciach, swoich i rodzinie.

Kochana **Lilla Weneda** dawno czeka na odpowiedź, chciałam ci ją posłać listownie, ale brakło mi czasu na osobny list a przytem sądzę, że twoje życie może być nauką dla innych korespondentek i postanowiłam w skrzynce odpisać ci obszerniej. Wcześniej bardzo wzięłaś na siebie poważne obowiązki gosposi, mając przytem chorą babcie do pielęgnowania i młodszą siostrzyczkę, dla której jesteś opiekunką; spełniasz więc już najszczytniejsze zadanie człowieka, to jest żyjesz dla drugich. Po stratach jakie poniosłaś, dziś wszystkie twoje uczucia skupiają się około babuni i tej kochanej Zochy, która musiała już odebrać moją odpowiedź. Wzajemne przywiązanie sióstr dużo daje szczęścia i wielką jest pomocą w życiu, a wasze choć smutne i samotne nie jest nieszczęśliwe, skoro umiecie je sobie uprzyjemniać rozmową, muzyką, nauką i czytaniem. Teraz Zocha wolna będzie od zajęć, więc, da Bóg, sił nabierze i przestanie swem zdrowiem niepokoić siostrzyczkę, a nawet pewnie pomoże jej w pieczeniu mazurków. A zjadając je, pomyślcie, że życzę wam i wszystkim korespondentom moim, aby zawsze ich stół skupiał rodzinę i karmił osieroconych. Zatrzymując resztę odpowiedzi do następnego Nr. przesyłam wszystkim czytelnikom „Wieczorów” najlepsze życzenia świąt Wielkanocnych.

wasza Jaskółka.

Dobre rozwiązania zadań i zadania własnego układu nadesłali: Michaś i Zosia, Rzymianka, Anna G. Szarotka, Jaś z Broniszowa, Wieloryb i Warszawiak.

Na Kolonie Letnie złożyli. Mania Ch. z siostrzyczką Różyczką rub. 10, Miri kop. 14, Zochna z Pekinu z rodzeństwem rub. 3, Stefan Łubiński kop. 85, Michał Łubiński rub. 1, L. J. J. rub. 1, Dzika Litwinka kop. 64.